

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[36]

## MATKA KRÓLA STANISŁAWA.

Drzeworyt, który podajemy naszym czytelnikom, jest przerysowany z autentycznego portretu Konstancyi z Czartoryskich Poniatowskiej, wojewodziny mazowieckiej, kasztelanowej krakowskiej, matki króla Stanisława Poniatowskiego i trzech jeszcze synów: Kazimierza, zwanego *księciem podkomorzym*, Michała, prymasa, i Jędrzeja. Pani ta zstąpiwszy przez zamężcie we własnym przekonaniu, szczeblem niżej z tego, na którym się zrodziła, poświęciła wszystkie siły i wszystkie starania na wywyższenie siebie i swych dzieci ponad pospolitą równość szlachecką. Zapomniawszy o innych celach, ku temu jedynie wychowywała synów. O poświęceniu własnego interesu dla sprawy ważniejszej, o obowiązku, o noszeniu oręża u boku nie tylko dla czczonej mody i zręcznego wdzięku, nie było tam mowy; ale za to o poświęcaniu i obracaniu wielu rzeczy na korzyść osobistą, wspomniano często. Marząc o wyniesieniu synów, o ich wielkości, pani kasztelanowa nie myślała dojsć do tego za pomocą kształcenia ich duszy, lecz raczej przez podniecanie tylko ich miłości własnej. Sama pychą nadęta, za tę ponurą wzgardliwą pychę, otrzymała od współ-

czesnego dowcipu przezwisko: *gradowej chmury*. Starania jej uwieńczył pełny skutek: jabłka niedaleko padły od jabłoni. Pierworodny syn Kazimierz, książę podkomorzy, wstawił się jedynie samolubstwem, dziwactwami, kosztownymi ogrodami i budynkami na Solcu, gdzie oddawał się hodowaniu

i aklimatyzowaniu małą. Wiadomy jest powszechnie przebieg życia Stanisława, którego nie doczekała pani kasztelanowa widzieć na tronie. Michał prymas znany jest również. Czwarty syn Jędrzej, przebywający po za krajem, obcym był dla niego i umarł młodo. Któżby się spodziewał, że tego właśnie Jędrzeja synowi dano będzie za przeszłość i rodzinę całą cierpieć, walczyć i zginąć. A jednak tak było, bo synem owego obcego krajowi Jędrzeja był książę Józef. Jak smutnie samolubnym był cel starań całego życia pani Poniatowskiej, tak smutną pamięć pozostawiła ona po sobie. Marną pychą budowany gmach świetności rodzinnej rozpadł się w gruzy i proch natychmiast po zbudowa-



Konstancya z Czartoryskich Poniatowska.

niu. Nazwisko samo gaśnie we Włoszech, w licznych potomkach tego rodu, którzy jakby wyrzekając się nazwy swój, przezwali się książętami: di Monte Rotondo.



## Z O R Z A.

Wschodziła zorza wiosny poranku,  
 Dziadzio staruszek siedział na ganku,  
 Z wnuczkami swemi się bawił.  
 „Kiedy tak dziadzio lubi tę zorzę —  
 Rzekła z nich jedna — „to niechby może  
 I jój też pobłogosławił”. —

Na to staruszek: „Światłościom z Nieba  
 Błogosławieństwa ludzi nie trzeba.  
 Lecz Niebo pobłogosławi  
 Każdemu, który na wzór tój zorzy,  
 Spiącym, na światło oczy otworzy,  
 Zbłąkanym, drogę objawi.

„Błogosławieni są i ci, którzy,  
 Sami do pracy wstawszy o zorzy,  
 Trwają w niej wiernie dzień cały.  
 Bo gdy ich cienie nocy ogarną,  
 Dzień ten im błysnie zorzą polarną  
 Przyszłego szczęścia i chwały”.

A, E. O.

## TRZYNASTOLETNI PODRÓŻNIK.

(Dokończenie).

W dalszej podróży do morza Galilejskiego często spotykał się Wolski z koczującymi Arabami i był przez nich napastowany; ale byłoby za długo przytaczać wszystkie szczegóły jego pielgrzymki, chociaż wiele znajduje się w nich charakterystycznych ustępów, w których nie tylko występuje na jaw postać samego autora, ale także rodzaj życia i obyczaje mieszkańców Wschodu, z którymi spotykał się w drodze. Oto jest jeden z wydatniejszych opisów: „Skoro spuszczałyśmy się z wierchołka góry, w pobliżu morza Galilejskiego, ujrzyliśmy dom wysoki w kształcie baszty, a przed nim stało dużo Arabów, Maurów, Greków i Armeńczyków; zaledwie zbliżyliśmy się do nich, zaczęli biedz ku nam i ciekawie się przypatrywać, ale wyszedł z domu pewien urzędnik z ogromnym kijem i kazał im się rozejść; inaczej bowiem żądaliby od nas pieniędzy, a może nawet gwałtem zechcieliby je wydrzeć. Utrudzony konną jazdą, postanowiłem podążyć piechotą do sąsiedniej wioski, kiedy wśród wazkiego przejścia kobieta arabska zastąpiła mi drogę i nie chciała się usunąć pierwej, aż ją zmusił do tego towarzysz mój Maurytanin. Minęliśmy wioskę, w której leżały po drodze woły i krowy, a podążyliśmy do źródła, w zamiarze ochłodzenia

się świeżą wodą, poczem położyliśmy na ziemi kobierzec pod cieniem drzew i całą godzinę odpoczywaliśmy pod bramą miasta Tyberyady. W tymże czasie ukazał się w bramie basza miejscowy, którego gdy spostrzegł Maurytanin, pośpieszył na spotkanie, a zbliżywszy się do niego, pocałował go pokornie w rękę i w imieniu baszy nazareńskiego oświadczył mu pozdrowienie. Stosując się do przyjętego zwyczaju, chcieliśmy także pozyskać z koni, ale basza, widząc naszą gotowość do oddania mu hołdu, zabronił nam tego, owszem uprzejmie nas powitał i ciekawie, z uśmiechem, przyglądał się naszym ubiorom”. W innem miejscu mówi Wolski: „Okolice Nazaretu pełne są band koczujących Arabów, którzy żyją pod gołym niebem i rozbijają po drogach, przyzwyczajeni są oni do trudów i wojny, bo dzieci, które chodzić jeszcze nie umieją, przywiązują do wielbłądów i zaprawiają do niewygód podróży i skwaru płomiennego słońca. Opowiadali mi historią pewnego Araba, co uzbrojony bronią z czterdziestu strzałami, stanawszy na pagórku, wytrzymał natarcie licznych zapaśników i zmusił ich do odstąpienia”. Pomiędzy osobami, które napotkał Wolski, podróżując po wschodnich krajach, zapoznał się także z Polakiem, jezuitą Tadeuszem Krusińskim, autorem znanego dzieła w naszej literaturze: *Historja tragicznych klęskami wojen perskich od r. 1711 do 1728, poprzedzona wstępem czyli relacją turecko perskiego poselstwa*, którą tenże autor z tureckiego na łaciński język przełożył. W podróży do Egiptu spotkał się także nasz pielgrzym z misjonarzem, powracającym z Indyj, który między innemi opowiadał mu o Japonii, jak trudno dostać się Europejczykom do tego kraju i jak pewien ksiądz katolicki zawędrowawszy tamże, stawiony został przed cesarzem, który przekonawszy się, że misjonarz wcale nie zna japońskiego języka ani obyczajów tego narodu, uznał go za nieszkodliwego. Nie chcąc się wszakże pozbawiać tak rzadkiego i ciekawego egzemplarza, postanowił zatrzymać go przy swoim dworze i kazał dać mu wszystkie wygody, a kiedy Europejczyk, nie przyzwyczajony do barbarzyńskiego japończyków stołu, nie mógł spożywać przygotowanych dla niego potraw, polecił cesarz dworzanom, ażeby mu podawali surowe jarzyny, któreby on sam według własnego smaku przyrządzał.

Skoro Wolski przybył powtórnie do Rzymu, trafił na uroczysty obrzęd kanonizacy Stanisława Kostki, Alojzego Gonzagi, Jana od Krzyża i innych jeszcze pięciu błogosławionych. O posłuchaniu u papieża i podróży do Neapolu tak mówi: „Po ukończonym obrzędzie kanonizacy udałem się do Watykanu i oświadczyłem mistrzowi dworu gorące pragnienie ucałowania stóp Ojca Ś-go; pro-



śba moja wysłuchaną była i wprowadzony zostałem do mieszkania najwyższego pasterza. Przypomniałem papieżowi, jako miałem szczęście być mu przedstawionym za pierwszą bytnością w Rzymie, z kądem udałem się na Wschód dla odwiedzenia Grobu Pańskiego; Ojciec święty mię poznał i jak najłaskawiej powitał. Ośmielony tém przyjęciem opowiedziałem mu w krótkości dzieje mego pielgrzymstwa, poczem namawiałem go w najgorętszych wyrażeniach, ażeby ogłosił krucyatę przeciwko Turkom. W rozmowie z Ojcem świętym przedstawiałem mu obecne położenie muzułmańskiego państwa, a zatem wszystkie okoliczności, które sprzyjają do odzyskania miejsc świętych, byleby tylko na poparcie tego wielkiego czynu zechciał wydać bullę do królów i książąt chrześcijańskich, z wezwaniem, ażeby połączonemi siłami powstałi przeciwko niewiernym. Pochwalił papież moję gorliwość w sprawie wiary świętej i polecił, ażeby projekt mój wyłożył kardynałom, sam zaś obdarzył mnie odpustami, relikwiami świętymi i pieniędzmi. W końcu Marca roku 1727 wybrał się Ojciec Ś. w podróż do Benewentu, w której postanowiłem mu towarzyszyć. Kiedy papież podróżował lądem, na brzegu morskim krążyły statki dla zabezpieczenia go od napadu Turków, którzy dowiedziawszy się o jego wyjeździe w Algierze, wysłali korsarskie okręta, a nawet jeden z tych wylądował na brzegach Romanii i zabrał trzydziestu dwóch niewolników. Wszędzie po drodze witały Ojca Ś. tłumy ludu, a skoro wyjechał za granicę swego państwa, uszykował się cały orszak procesjonalnie. Kapelan papieżki na czele z Najświętszym Sakramentem jechał konno, otoczony gojącami pochodniami i w tym porządku postępowało aż do Benewentu. Gdy papież w gronie licznych dworzan i Szwajcarów stanął na granicy królestwa neapolitańskiego, wice-król wyjechał na jego spotkanie; skoro ujrzał kolasę papieżką, zsiadł z konia, a zbliżywszy się do niej, ucałował rękę Ojca Ś. i oświadczył mu hołd winny w imieniu swego pana, cesarza Karola VI. Papież nie chciał wysiadać z kolasy do wystawionego umyślnie dla niego wspaniałego namiotu, więc po półgodzinnej rozmowie z nim, kardynał Altan, mąż wielkich cnót i pobożności, wice-król neapolitański, podążył naprzód, ażeby przygotować w mieście Kapui wspaniałą ucztę na przyjęcie papieża i jego dworu i t. d." W dalszym ciągu opowiadania znajduje się zajmujący szczegół z pobytu papieża w Benewencie. Kiedy z różnych okolic zbiegali się pielgrzymi, ażeby oglądać oblicze Benedykta VIII, rozkazał przygotować dla nich ucztę, przy której sam chciał usługiwać. Przed wieczrą obmywał papież pielgrzymom nogi, a nikomu nie dał się

wyręczyć, owszem sam dźwigał i rozlewał wodę. Kiedy niektórzy panowie ze znakomitych neapolitańskich rodzin prosili go, ażeby im także dozwolił obmywać nogi pielgrzymom, rzekł: „Dzień jeden wyznaczyłem dla siebie, wy w innym czasie możecie wykonać ten akt chrześcijańskiego pokory”. „Miałem także jako pielgrzym udział w tej uczcie”, mówi Wolski „i zasiadłem na ławie w towarzystwie innych podróżnych. Najprzód papież zbliżył się do pewnego księdza, którego nogi oblewając, zapytał: z jakiej jest djecezyi, na co otrzymał żądaną odpowiedź; tak następnie rozmawiał z innymi, a kiedy przyszła kolej na mnie, zapytał czy jestem księdzem? odpowiedziałem, iż nie mam tego szczęścia.—Więc z kądem jesteś rodem?—Jestem Polakiem. — Na to on: Polacy żyją w bojaźni Bożej i są dobrymi chrześcijanami, — zatem pytał: Jakię djecezyi? — gnieźnieńską, — Jak się twój arcybiskup nazywa? — Teodor Potocki, prymas.— Powiedział, iż zna go, jako pobożnego i zacnego pasterza. Po ukończonym obrzędzie obmywania nóg zasiadłem w gronie pielgrzymów za przygotowanym do uczy stołem; papież rozdzielał, podawał potrawy i nalewał wino, słowem wszystkie pełnił posługi; skoro się do mnie zbliżył, zdało się, że mnie nie poznał, z powodu, że w podróżnym teraz byłem ubraniu, więc zapytał znowu z kądem przybywam, na co odpowiedziałem mu, że z Ziemi Świętej, kardynałowie zaś którzy stali obok, przypomnieli mu, że jestem tym samem pielgrzymem, którego on zaszczycił szczególnymi względami i obdarował łaskami w Rzymie”. Opuściwszy Włochy udał się Wolski do Francyi, gdzie mieszkał wówczas król Stanisław I, więc z listami rekomendacyjnymi przybył do jego dworu i przyjęty gościnnie został przez króla, który go zaszczycił całogodzinną rozmową; następnie zwiedził Paryż i Londyn. W Anglii obiegał słynniejsze miasta, przyglądał się wszędzie przedmiotom godnym uwagi; ubolewał nad losem Jerzego, syna Klementyny królowej angielskiej, wnuczki Jana III, to znów rozważał z goryczką upadek i ucisk katolicyzmu w tym kraju. Z Anglii udał się do Brukselli i innych miast belgijskich, odwiedził znowu Niemcy i Wiedeń, potem Francją. z kądem po raz trzeci podążył do Włoch. W Marsylii zakupił okręt i zaopatrzył się w dostateczną ilość broni, w zamiarze potykania z tureckimi korsarzami, ale przedsięwzięcie to nabawiło go wielu kłopotów. skoro się bowiem wieść rozeszła o tém, stawiony został przed sąd magistratu, który zawyrokował, że statek nabyty sprzedać powinien, broń tylko pozwolono mu zatrzymać przy sobie. Najawszy okręt, popłynął do Genui, ale zaledwie dostał się do tego portu, powziął znów myśl zakupienia no-



wego okrętu, wiedziony gorącą żądzą walki, skoro więc wysiadł na ląd, zrobił natychmiast układ względem tego kupna i zakreślił plany przyszłej wyprawy. Na wzór kawalerów maltańskich, postanowił krążyć po morzu i bronić brzegów włoskich od napadu Turków, nabył już nawet w tym celu znaczną ilość czerwonego sukna na umundurowanie żołnierzy, ale plan jego po raz drugi zwichnięty został. Oskarżony przez magistrat, stawiony został przed senatem, następnie rozpoczęto śledztwo, a odebrawszy mu listy i pieniądze, wtrącono go do więzienia; szczęściem zajął się dalszém badaniem sprawy pewien patrycyusz genueński, mąż niepospolitych zdolności, ten wyrozumiawszy jego niewinność, kazał wypuścić Wolskiego na wolność i zwrócił mu listy i pieniądze, kontrakt jednak względem zakupionego okrętu został unieważniony. Wiele jeszcze później doświadczył nasz rodak nieprzyjemności, z powodu zamierzonej wyprawy przeciwko nieprzyjaciółom krzyża, jakoż w inném miejscu francuzki konsul, dowiedziawszy się w jakim celu Wolski wywiózł znaczną ilość broni z jego kraju, kazał natychmiast go aresztować. Dopiero za wstawieniem się ambasadora polskiego w Rzymie został uwolniony. Skoro przybył do Rzymu, udał się do posła francuzkiego kardynała Polignac'a, który z otwartemi przyjął go rękami i przeproszał za nieprzyjemności, jakie mu konsul wyrządził; przyczém zwrócił jego uwagę, że fakt wywiezienia broni z Marsylii z wiedzą jego rządu i w celu walczenia z bisurmanami, mógłby się stać niebezpiecznym dla dyplomatycznych stosunków jego państwa z Portą, gdyby Wolski dostał się do niewoli, zwłaszcza, że świeżo zawarty został traktat przyjaźni pomiędzy Francją a Turcją. Broń i rzeczy, które mu zabrano, kazał kardynał zwrócić, na wstawienie się Klementyny królowej angielskiej, córki królewicza Jakóba, mieszkającej naówczas w Rzymie.

Wkrótce po jego przybyciu umarł w Rzymie Benedykt VIII, więc opisuje Wolski obszernie uroczystości pogrzebu zmarłego i obioru nowego papieża. Duch niespokojny młodego wędrowca nie dozwalał mu długo spoczywać na jedném miejscu, krzyżowały się w jego głowie obszerne plany coraz nowych podróży i niebezpiecznych wypraw. Po całorocznym pobycie w Rzymie wyruszył znów Wolski na Wschód; celem terażniejszej jego podróży miały być Indye wschodnie, a najprzód chciał poznać Konstantynopol i zwiedzić powtórnie Jerozolimę. Skoro przybył do Carogrodu, wypadła okoliczność, która go skłoniła do zaniechania ułożonego w Rzymie planu; poznał patryarchę babilońskiego Chaldejczyków z Mezopotamii, Józefa III, który był w niewoli tureckiej i w najopłakańszym

znajdował się stanie. Widok starca prześladowanego od Turków i pogrążonego w nędzy, poruszył do łez Wolskiego; jakoż tak mówi sam o tém spotkaniu. „Kiedy usłyszałem z ust patryarchy, jak liczne prześladowania, szyderstwa i niezliczone krzywdy poniósł za wiarę, postanowiłem gorąco wyrwać go z téj niedoli, nie zważając na koszta ani trudy podróży; w tym celu porozsyłałem najprzód listy z prośbą o pomoc do różnych chrześcijańskich ksiąząt, mianowicie: do księcia Siedmiogrodu Rakoczego, który natychmiast pieniądze przysłał mi zasiłek, lecz że znaczne były koszta podróży, a patryarcha zadłużony był bardzo, zastawiłem własne swoje rzeczy i wykupiłem starca z niewoli, następnie za wstawieniem się posłów zagranicznych otrzymałem od cesarza tureckiego kartę na wolny dla nas obydwóch przejazd, tak więc za łaską Bożą wyruszyliśmy z Konstantynopola w ostatnich dniach Czerwca 1731 r. Najbliższą do Polski udaliśmy się drogą przez Rumunią i Bułgarią, gdzie liczne miasta napotykałyśmy po drodze, a przebywszy górę wysoką i rzekę Geras, wydostaliśmy się na płaszczyznę, zamkniętą z jednej strony górami, a z drugiej Dunajem; pamiętném jest to pole wielką klęską Turków, którą im zadał nasz Władysław Warneńczyk, o czém świadczą po dziś dzień liczne bardzo mogiły poległych; miejsce to jest odległe o dwanaście dni drogi od Konstantynopola. Nad samem ranem przybyliśmy do wioski nad Dunajem, gdzie stoi straż turecka i cło od podróżnych pobiera, ale pokazawszy kartę wolnego przejazdu od sułtana, uwolnieni zostaliśmy od téj opłaty. Ztąd w przeciągu czterech godzin stanęliśmy w Galaczu, które to miasto niegdyś bogate i piękne, dziś zupełnie zrujnowane, ma domy drewniane, z wyjątkiem czterech murowanych kościołów i jest własnością księcia wołoskiego. Z Galaczu podążyliśmy do Jass, miasta stołecznego Wołoszczyzny, która jest obecnie prowincją turecką; książę musi być wyznania greckiego i jest obierany przez Portę, a wybór pada zazwyczaj na tego, kto więcej da pieniędzy; władca ten, czyli namiestnik sułtana, obowiązany jest nadto płacić corocznie znaczny haracz cesarzowi. Ziemia wołoska przerzynana jest wysokimi górami i gęstemi zapełniona lasami; nim dojechalśmy do Jass, doświadczałyśmy często w drodze wielkiego braku wody, to też zobaczywszy studnię, rzuciliśmy się wszyscy pośpiesznie, ażeby zaspokoić pragnienie, przyczém pewien niegodziwy Turek zamierzył się na mnie nożem i gdybym nie ustąpił mu z drogi, przebiłby mnie niezawodnie. W Jassach znajduje się tylko jeden kościół katolicki Franciszkanów, wszystkie inne są greckie. Przed kilku laty był tutaj pożar, w skutek którego spłonęły niektó-



re domy. Książę wołoski, chcąc pochłubić się z wielkości i bogactwa swojej stolicy, rozpisał okólniki do wszystkich europejskich dworów, z doniesieniem, że tysiące domów i wspaniałych pałaców spłonęło w Jassach, gdy tymczasem wszystkim znajdującym geografją, zwłaszcza tym, którzy podróżowali w tych okolicach, dobrze wiadomo, że domy w Jassach więcej do nędznych chat i lepianek niż do pałaców są podobne. Przodkowie Wołochów pochodzą z Włoch, z kąd przez cesarżów za bunty, rozboje i złodziejstwa do tych miejsc leśnych i pustych wysyłani byli; po drodze napotykaliśmy wiele miejsc pamiętnych bitwami naszych ojców z Turkami i Tatarami.

Skoro przybyliśmy na granicę Rzeczypospolitej, ujrzeliśmy najprzód słup ogromny w kształcie piramidy zbudowany, z herbem u góry prymasa Polski jw. Potockiego, niby godło najpierwszego urzędu w kraju. Trzydzieści dni upłynęło od wyjazdu naszego z Konstantynopola, a przez cały czas tej podróży nocowaliśmy pod otwartym niebem, mile więc powitaliśmy pierwszą gospodę w mieście Horodence, dość ludnym i w pięknej okolicy położonym. Odpocząwszy trzy dni w rzeczonym mieście, wyruszyliśmy w drogę ku Kamieńcowi; skoro przepawiliśmy się przez rzekę Dniestr, żołnierze polscy, postawieni na straży granic, sądząc z ubioru patryarchy i kilku moich służących, wzięli nas wszystkich za Turków, lubo im pokazałem kartę wolnego przejazdu do Horodeńskiego urzędu, a kiedy się ozwałem, że jestem Polakiem i zacząłem przekładać, ażeby nas puścili, zaczęli lżyć nas i dobyli pałaszy; dopiero kiedy nas odprowadzono do Żwańca i pograniczny starosta przeczytał naszą kartę, wypuszczeni zostaliśmy na wolność. Zaledwie przybyliśmy do Kamieńca, wybiegł naprzeciwko nas dawny mój znajomy, jezuita Krusiński, misyonarz perski, ten sam, z którym spotkałem się już raz w okolicy Jerozolimy. Dość długi czas strawił on w Persyi i znajdował się przy dworze króla perskiego, napisał tam więc książkę o wojnach i rewolucjach perskich i egzemplarz tego dzieła w łacińskim i tureckim języku dedykował wielkiemu wezyrowi tureckiemu; poznał on także patryarchę babilońskiego w czasie podróży po wschodzie i w mieście Djarbeki w Mezopotamii przez dni kilka podejmowany był w jego domu gościnnie. Ojciec Krusiński serdecznie powitał szanownego patryarchę, zaprosił go do jezuickiego kolegium, w którym przez dni trzy pozostawał i podejmowany był hojnie. Znajomy nasz misyonarz opowiadał o przykrościach, których doświadczał w powrocie z Jerozolimy do Polski, w braku bowiem pieniędzy, musiał pasać wielbłądy Turkowi, ażeby zarobić na kawałek chleba, że zaś miał przy sobie

perły i inne drobiazgi, które chciał przywieźć do Polski, obawiał się ciągle grabieży i kiedy karawana zatrzymała się na nocleg, on, żeby nie zasnąć zbyt twardo, kładł głowę na kamieniu i w rozmaity sposób dręczył swoje ciało.

Z Kamieńca wyjechaliśmy do Złoczowa; w którym mieszkał n. królewicz Jakób Sobieski; przyjął on zacnego gościa z godnością prawdziwie królewską, a przy wesołej i sutęj uczcie, okazał mu wiele dowodów pobożności i pokory chrześcijańskiej; te to bowiem zalety czyniły go uprzejmym i poufałym w towarzystwie. Opowiadając o wypadkach mojej podróży i o osobach, które poznałem w Rzymie, mówiłem temu księciu o wielkich zaletach jego córki, królowej angielskiej, którą cały Rzym jako wzór doskonałości chrześcijańskiej podziwiał i uwielbiał. Po kilku dniach pobytu w domu gościnnego księcia, wyruszyliśmy do stolicy Rusi, do Lwowa, dokąd zjechało się wielu senatorów i biskupów z okoliczności ślubu jw. Rzewuskiego podczaszego kor. z jw. Potocką, na którą to uroczystość zaproszony został patryarcha, ja także, jako towarzyszy jego podróży, byłem przytomny temu obrzędowi i uczcie.

Skoro zasiedliśmy wszyscy około uginającego się pod ciężarem półmisków stołu, miejsce obok patryarchy zajął poseł tatarski, którego zaproszono także na tę uroczystość. Potrawy roznosili, różne wina nalewali ciągle w puhary, ale kiedy wszyscy goście raczyli się i zapijali wesoło, zauważył patryarcha, że sąsiad jego, poseł tatarskiego chana, siedział smutnie i nic jeść ani pić nie chciał, zapytał go więc o przyczynę, na co tenże odpowiedział natychmiast, że bez końskiego mięsa niema dla niego biesiady, najwymyślniejsze bowiem potrawy nie smakują mu wcale; patryarcha zganiał mu smak tak niedorzeczny i barbarzyński, a Tatar nic już nie odpowiedział i jak pniak do końca uczy siedział”.

Po skończonej wieszce przedstawiał Wolski swego patryarchę wszystkim po kolei biskupom i senatorom, opowiadał, jako tenże kapłan wycierpiał wiele prześladowań od Turków i jako zaciągnął znaczne długi na wykupienie niewolników chrześcijan. Powieść ta poruszyła serca obecnych, złożyli składkę pieniężną, dostarczyli mu przyzwoitę odzież, przygotowali nakoniec kolasy i konie do podróży. Trzej lwowscy arcybiskupi, obrządku łacińskiego Skarbek, rusińskiego Szeptycki i ormiańskiego Augustynowicz, dzień po dniu podejmowali patryarchę babilońskiego hojnie i obsypywali go darami; nakoniec kasztelan krakowski, książę Korybut Wiśniowiecki, przyłożył się także do tego dzieła, by ze czcią należną wyprawić chaldejskiego arcypasterza do Rzymu.”

Opowiadanie podróżnika, który rozpoczął swe



wędrówki w trzynastym roku życia, kończy się tutaj, a chociaż obiecuje zaspokoić ciekawość czytelników, co do zamierzonych na przyszłość wędrówek, jeżeli takowe przyjdą do skutku, nie pozostawił jednak drugiego dzieła, jakkolwiek wiemy skądinąd, że podróże opisane w tym dzienniku były dopiero wstępem do pełnego przygód dalszego życia.

## W DOLINIE KASZMIRU.

Mniej więcej w lat 20 po śmierci św. Franciszka Ksawerego, apostoła Indyi, człowiek pewien wdarłszy się z trudem na wyżyny otaczające dolinę Kaszmiru, usiadł dla spoczynku na odłamie skały, rozpatrując się z poważnym zajęciem w niezmierną przestrzeń, jaką ze stanowiska swego mógł dokładnie objąć spojrzeniem. Był on w kwiecie wieku, w ubraniu z tkaniny wełnianej, zastosowaniem do wygody podróżnej, na imię mu było Piotr Ksawery, rozmyślał zaś w tej chwili o bracie swym, poległym przed dwudziestu laty jako żołnierz Pański na tej właśnie drodze, którą on sam dopiero co przebieżał. Człowiek ten był rodzonym bratem apostoła Indyi, zakonnikiem także, i pierwszym Europejczykiem, który obecnie, nieustraszony smutnym przykładem, przedzierał się przez niedostępne krainy do Kaszmiru, niosąc tam *dobrą nowinę*, ewangeliczne braterstwo. Ażeby ocenić ważność tej *nowiny dobrej*, trzeba zważyć tę okoliczność, że przynosiła ona między innymi równość i braterstwo z całym rodem ludzkim milionowej ludności, stanowiącej jedno pogardzone plemię wśród innych kast indyjskich, którego zbliżenie samo i dotknięcie kałało dotąd wyższe społeczeństwo tego kraju. Podróżnik, siedzący obecnie na jednej z najniższych skalistych wyniosłości, otaczających jakby podłużnym wieńcem krainę, do której dążył, mógł się tej ostatniej przypatrzeć dokładnie.

— Ah! ależ to musiało być kiedyś jezioro! — zawołał obrzucając wejrzeniem przeogromną zieloną dolinę, oprawną w niezmierny pierścień skalisty, ale równie jak i sama dolina zarosły całym bogactwem roślinnym, na jakie stać jest planetę daną na mieszkanie człowiekowi, którą on *ziemię* nazywa. Brat Piotr długą chwilę popatrzawszy na widok, jaki miał przed sobą, rzekł znowu sam do siebie głośno, jak mają zwyczaj ludzie żywego usposobienia, a często samotni:

— Prawda! prawda! nie próżno Indyanie nazywają tę krainę krainą wiecznej wiosny i ziemią nieporównaną!

W przyjemności, z jaką zakonnik wymawiał te słowa, w podziwiew pełnym zachwyty, z jakim się

rozpatrywał, znać było zadowolenie podróżnika, który pierwszy przedostawał się do nieznaną jego ziomkom krainy. Nie przybywał on przecież do niej w owej chwili, bo nie tak to łatwo było, a nawet i jest, przedostać się do czarownej tej doliny przez kraje, i ludy, i strome, niezmiernie wysokie pasma gór o lodowatych szczytach, otaczające ją ze wszystkich stron. Za pomocą listów i poleceń, dostał on się najprzód pod opiekę panującego wówczas nad owymi krajami W. Mogola Akbera i z nim dopiero, w jego świetle, przedostał się do Kaszmiru. Od trzech dni już był w *dolinie wiecznej wiosny* i rozpatrując się w okolicy, odbywał długie przechadzki, w których poznawał lud i jego obyczaje. Jest albowiem wieść, że rozległe były wówczas zamiary Akbera Wielkiego, do których tenże zamysłał się Piotrem posłużyć. Zamiary te podobno miały na celu wprowadzenie do państwa W. Mogola nowego wyznania, któreby zjednoczyło wszystkie rozstrzelone sekty indyjskie. W chwili, w której widzimy księdza Piotra spoczywającego wśród gór, odgraniczających dolinę od reszty świata, odbywał on właśnie jedną z codziennych swych przechadzek. Ogromna dolina, na którą patrzył z wyżyny, była tak ściśle otoczona górami, że trzeba było znać dobrze miejscowość aby znaleźć do niej drogę utworzoną w kilku tylko miejscach, przez rozerwane jakoby gwałtownie skały. Lodowe szczyty górskiej tej olbrzymiej opaski błyszczały w słońcu oslepiającym blaskiem, ale poniżej całe stoki gór i całą dolinę wyścielała niesłychanej pierwotnej bujności roślinność, na którą głównie złożyły się najdoskonalsze rodzaje owocowych drzew, krzewów i roślin. Zdawały się one jakby zebrane tu na pokaz ze wszystkich właściwych im stref świata i to w najwyborniejszych okazach. Srebrne jeziora, strumyki, rzeczulki, gęsto ożywiały ten sad naturalny uroczy. Mnóstwo chat i domków tonęło w tej puszystej zieleni, a świątynie i pałace, o bogactwie i wspaniałości nieznanym ludom innych krain, wychylały się tu i owdzie z cudnego sadu. Uprawne pola zajmowały resztę żyznego gruntu. Blżej można było rozróżnić piękne zwierzęta, bawoły najczęściej, i ludzi zajętych lekką uprawą wdzięcznej ziemi. Ale wszystko to razem, gmachy i chaty, pola, góry i dolina cała narzucone było takim bogactwem niesłychanym kwiatów, a mianowicie róż, że doiny całe niektóre znikły prawie pod niemi, a cały obszar kaszmirskiej doliny zdawał się niby jednym niezmiernym kobiercem w różę utkanym. Woń różana to właściwy tej doliny oddech. Najbliższe wędrowca podskakiwały wśród róż, ginąc wśród nich, małe zwinne kozy, słynne kozy kaszmirskie, wydające jedyną na cały świat pod względem de-



likatności wełnę. Nieco dalej, koło maleńkiego domku, kilkoro ludzi zajmowało się właśnie wyrobem słynnych z tej wełny tkanin. Domek ów, jeden z mnóstwa podobnych skrytych w kwiatkach, dziwny był przy bliższem przypatrzeniu, bo cały składał się z ryżu! Jest był on właściwie stogiem ułożonym z ryżowych snopów, w środku którego cała rodzina urządziła sobie mieszkanie, aż do przyszłych zbiorów. Taka chata wystarcza doskonale mieszkańcowi krainy wiecznej wiosny. Nigdy burza, nigdy silniejsza zmiana atmosferyczna nie zamąca spokoju tego wonnego zakątka. Patrząc z góry na ten obraz cichych swobodnych zajęć wśród rozkosznej natury, wędrowiec zadumał się głęboko i boleśnie nad tem, że cudny kraj ten zagrożon był jeszcze w błędach pogańskich. A wtém nowy i niespodziany widok zwrócił na siebie jego oczy: był to orszak wychodzący zwolna z jednej z blizkich chat, a do którego przyłączać się zaczęli spotykani po drodze krajowcy, porzucający swe zajęcia na jego widok. Najprzód niesicno zwłoki człowieka bogatą i wielką nakryte tkaniną, potem szła wrzawliwa i liczna gromada muzykantów, czyniąc na swych instrumentach wielki hałas, powtarzany donośnie przez górskie echa; za muzyką szła niewiasta, cała od stóp do głów nakryta wlokacem i się po za nią zasłonami z pysznego tamecznego muślinu i obrzucona cała różanem kwieciami; z obu stron tej niewiasty postępowali dwaj kapłani indyjscy, zwani braminami, za nią szło ich także kilku, a dalej szedł tłum ludu z płonącymi pochodniami, zwiększający się co chwila. Orszak ten skierował się ku ułożonemu w pobliżu stosowi z ryżowej słomy i wonnego drzewa, któren także na rodzaj chaty wyglądał, na stosie złożono zwłoki. Głośny okrzyk tłumy rozległ się, kobieta w zasłonach chwyciła najbliższą pochodnię, wskoczyła na stos podpaliwszy go, i siadła przy zwłokach. Kapłani i lud z okrzykiem zapалу podpálili stos ze wszystkich stron, dym wybuchnął, a za nim płomienie... Wędrowiec, chociaż obznajomiony już ze zwyczajami Indyan, nie rozumiał przecież z początku co się działo przed jego oczyma, po chwili domyślił się jednak, że to odbywa się dość częsta w Indyach ofiara wdowy, palącej się żywcem ze zwłokami zmarłego męża. Zrozumiawszy to, zaledwo zdołał się wstrzymać, aby nie pobiedz i nie rzucić ze stosu samobójczyni. Wiedząc wszakże, iż to było niemożliwem, zwrócił on tylko oczy i ręce ku niebu, jakby ratunku ztamtąd dla ofiary przesądu wzywając. A wtém stało się wśród fanatycznego zgromadzenia Indyan to, co podobno dość często zdarza się tam w takich wypadkach: ofiara, czy to fanatyzmem czy też za pomocą opium podniecona do spełnie-

nia dobrowolnego całopalenia, w ostatniej chwili poczuwszy już ból płomienny, nagle z krzykiem chciała uciekać ze stosu... a wtedy tłum i kapłani długimi żerdziami od pochodni wpychali ją w ogień napowrót, pomagając w ten sposób słabej na duchu niewieście do spełnienia obowiązku dobrowolnie przyjętego. Na ten straszny widok, Piotr Ksawery zapomniał gdzie jest i jak szalony rzucając się na ratunek nieszczęśliwej, rozepchnął niespodziewających się napadu Indyan, a ofiara korzystając z chwili zamieszania, w kilku dzikich skokach wyskoczyła ze stosu i goniona z rozpaczliwemi okrzykami, cała w płomieniach dopadła otwartej świątyni... Piotr Ksawery dzięki nadzwyczajności napadu, który osłupił Indyan, zdążył także ukryć się w bujnej zieleni, a potem jak mógł najprędzej podążył do pałacu, do swego możnego opiekuna, po pomoc dla nieszczęśliwej i obronę dla siebie; bo łatwo się mógł zemsty spodziewać za przerwanie świętych obrzędów. Akber posłał natychmiast silny oddział swjej straży wraz z Piotrem do wskazanej świątyni, która właściwie chwilową tylko mogła dać ochronę nieszczęśliwej ściganiej. Piotr śpieszył ze wszystkich sił; z trudem mimo zasłaniania się rozkazem Akbera, przebił się przez ściśnięte tłumy i stanął wprost rozwartego wnętrza świątyni. Pusta już była i dopiero rozpatrzywszy się dostrzegł u stóp wspaniałego w swoim rodzaju przybytku Siwy, wspartego na barkach słoni, których trąby dotykały marmurowej podstawy, kilku kapłanów zajętych wiązaniem snopów ziela i gałązek młodocianych krzewów, aby je dorzucić zapewne do ofiarnego stosu, który widać jeszcze było w dali, a na którym już spłonęła nieszczęśliwa wtrącona nań powtórnie kobieta. Zrozumiawszy to wszystko, Piotr stał przez chwilę oniemiały z przerażenia i bólu, aż wreszcie powiódłszy dokoła wzrokiem po cudnej dolinie Kaszmiru, wznosił załzawione oczy ku niebu i zawołał:

— O prawdo chrześcijańska, zstąp, bo i raj ziemski bez ciebie piekłem stać się może!

*Azet.*

## HONOROWY STÓŁ KRZYŻACKI.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW.

przez M . . a.

(Dalszy ciąg)

— Pan i pani, ochmistrzyni dziewczątek, tłumaczyli mi na moje pytania, że nie mogliśmy dostać się do Krakowa, ponieważ drogę przecięł nam nieprzyjaciel, dla tego więc umyślnie i z konie-



czności pokierowano podróżą do Poznania, gdzie było jeszcze bezpieczniej i gdzie dziewczątka miały krewnych. Było to prawdą, ja zaufawszy tym dwojgu, opiekunom czy sługom pańskich tych dzieci, ani domyślałem się nawet do ostatniej chwili, gdzie je przeprowadzam. Przekonałem się, że Kraków był w istocie w mocy nieprzyjaciela, a więc stało się dobrze tak, jak się stało; niemniej przecież w dziwnym znajduję się położeniu, które jest jedną z najcięższych zgrzyzot mego życia, bo słowo moje niespełnionem pozostaje, a ja przy innych obowiązkach i zajęciach rycerskich upatruję ciągle po świecie damy, której barwę noszę, a która niegdyś dziecięcami jeszcze rączkami przytwierdziła ją do mego hełmu; jeźlibym spotkał kiedy tę damę, a mógł pełnić przy niej straż honorową, choćby z końca świata do Krakowa i na Wawel, wtedy, bym dopiero mógł umierać spokojnie.

Tak rozmawiali Richartsdorffowie, na ganku przed gospodą siedząc w noc gwiazdzistą, gdy słaby zrazu, ale z każdą chwilą silniejszy tentent konia, zwrócił ich uwagę:

Nowiny jakies ważne idą z kądscis do Lublina — rzekł Hans i za zbliżeniem się gońca krzyknął doń:

— Hej, bracie, czarka miodu nie od rzeczy na taki kłus, a ze wszystkiego widno, żeście zdaleka. Goniec, zasłyszawszy o miodzie, wstrzymał konia i rzekł:

— Z Krakowa; Bóg zapłać. — i z wielką przyjemnością zwolna czarke wychylił. Hans zadrżał:

— Na drugą nogę! bracie! co słyhać w Krakowie? — rzekł, nalewając drugą czarke ze dzbanu, który wziął ze sobą z izby, idąc na gawędę na ganek. Goniec wychylił:

— Ot co! — rzekł — Niemcy górą! animuszu nabrawszy na naszym miodzie. Księżna Łoktkowa z księciem małym głodem na Wawelu mrze od Niemców ściśnięta, aż tylko patrzeć póki wzięta nie będzie, a książę Łoktek kędyś daleko na wojnie; oj, koniec to już mu chyba zgotowali te podstępni! — To powiedziawszy goniec trzecią czarke miodu wychylił smakując, podziękował i dalej popędził.

— Panie ojcie! odpuście wy mnie do Krakowa! — jęknął nareszcie wyraźnie Hans, ręce składając.

— Opuścić ciebie, nie! — powiedział rycerz, — ale jechać z tobą to rzecz inna: nigdy i niczem nie wywdzięczysz się Łokciowi lepiej, jak ratując jego syna; spełnisz odrazu rycerski obowiązek włożony na cię przez panią twoją, a jeżeli minie mię tymczasem uroczystość Stołu w Prusach, to ty przynajmniej nie będziesz za to dźwigał na sercu nie

spełnionego rycerskiego obowiązku. — Hans aż się do nóg rzucił rycerzowi za te słowa, bo doskonale rozumiał, jak wiele ten dla niego poświęcał, narażając się na stratę drogiego czasu. Potem skoczył Hans do koni, ruch stał się w gospodzie i o świcie wyruszyli wojacy przyspieszonym krokiem do Krakowa. Krótkie popasy, konieczne ze względu na konie, były jedyną przerwą podróży.

— Hm,.. — mruknął rycerz, dojeżdżając do jednego takiego popasu, na które wybierano zawsze spotykane przy drodze krynice, — Hm, to niedobrze.. —

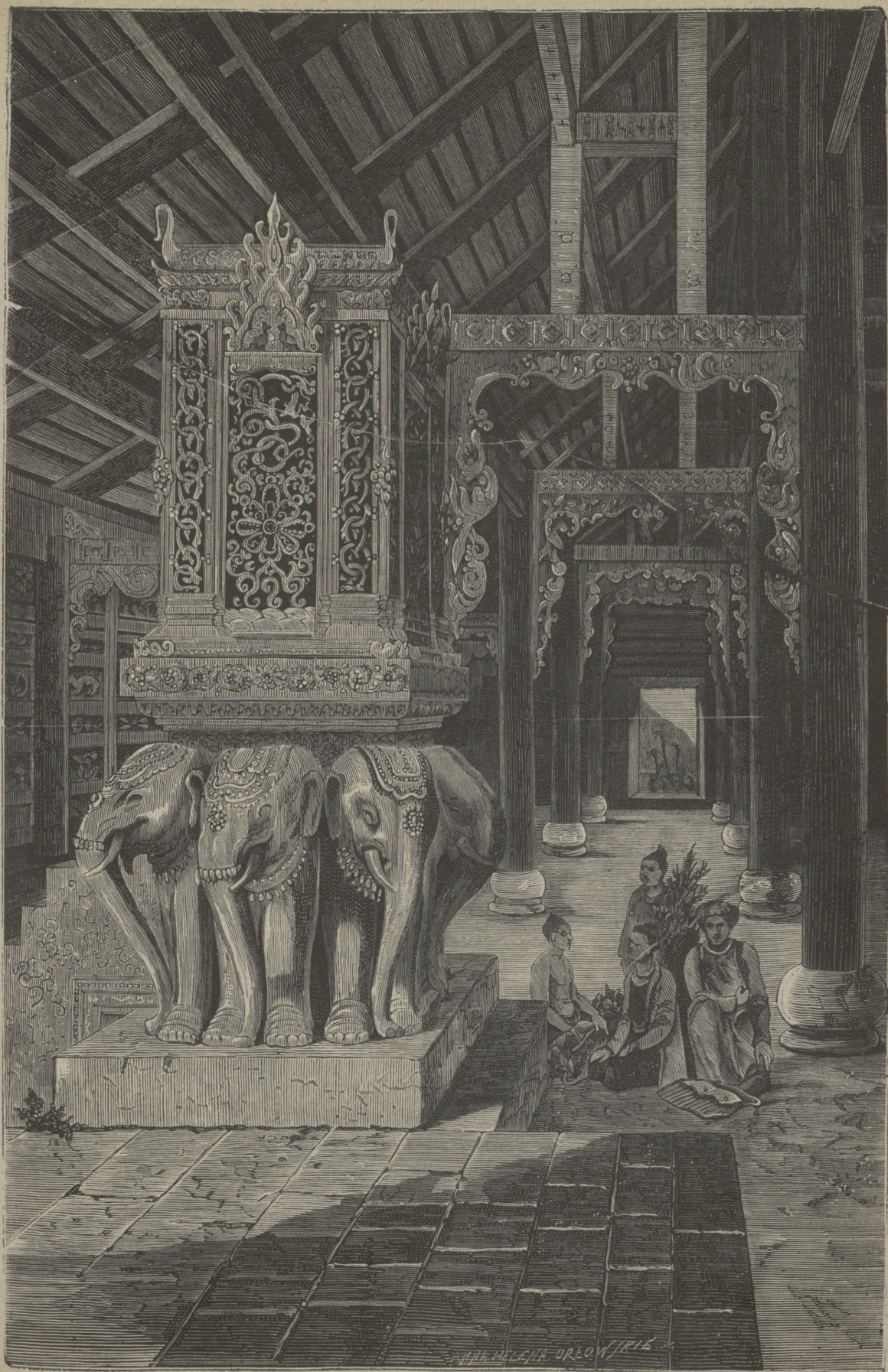
— Co niedobrze? — Hans zapytał, a rycerz odrzekł:

— To, że mając walczyć w obronie twój pani nie masz wstęgi z jej ulubioną barwą, bo to najprzód jest koniecznem, a potem przynosi szczęście, wedle rycerskiego ogólnego mniemania, które i ja obecnie podzielam, z doświadczenia. A jest to nawet bardzo naturalne, bo oczywiście przecież każda pani wspomina rycerza swego przy codziennych modlitwach i zań się modli, więc nic dziwnego, że nie jedno wymodlić może. Ja sam wyjście z różnorodnych mych niebezpieczeństw w ostatnich czasach przypisuję nie czemu, jak tylko niewinnym modłom małej pani mojej; która z taką niewypowiedzianą ufnością spoglądała na mnie w każdej groźniejszej chwili naszej podróży i z jakimś do macierzyńskiego podobnym uczuciem, acz sama małeńka, troszcząc się o mniejsze jeszcze siostrzyczki, umieszczczała je ciągle jak najbliżej mnie, snadź sądząc, że pod bokiem tego, komu powierzyła je matka, niechybną znajdując obronę. Jej to modłom winien jestem z pewnością to, że miecz mój, jakby cudem, po raz pierwszy stał się lekkim na chwilę, spadając na ciebie, że tylko cię zranił. Ściśle rzeczy biorąc jednakże, nie mogłbyś ty jeszcze nosić wstęgi na hełmie, i nie możesz zgiąć po nią kolana przed kobietą, gdyż nie jesteś jeszcze pasowanym na rycerza, ale zawsze radbym, gdybyś miał choć strzępek jej wstęgi, ponieważ jest niewiastą, lub kwiatek z jej wieńca, jeźliby była dziewczicą, i ażebyś je nosił na sercu, gdyż jak ci powiadam, przekonałem się, że dar takiej pani szczęście w boju przynosi.

Młody Hans, zajęty koniem swym na popasie, słuchał przytém uważnie nauk rycerza, równie jak i Fritz giermek, pochłaniający każde jego słowo, aby się z rycerskim zawodem obznajamiać. Na ostatnie jednak jego wyrazy porzucił Hans konia nawet i krzyknął:

— Ależ jeżeli o to idzie, to ja mam taki strzępek jej rąbka, który ona nosiła na włosy zarzucony, jak zwykle zamężne niewiasty i od którego udarła kawałek, nie mając nic innego pod ręką





..U stóp wspaniałego przybytku Siwy wspartego na barkach słoni... (str. 564).



ką do obwiązania mojej rany, gdy mię skrwawionego od owej belki, do stóp pani tej przyniesiono!

— Pokaż! — rycerz zakrzyknął. A Hans natychmiast wyjął z zanadru, z poza drucianej koszulki i białego bursztynowego krzyżyka, biały, podłużny płat cienkiego jak pajęczyna płótna:

— Nosilem to tak zawsze w kilkoro złożone — rzekł Hans — aby krzyżyk opierając się na miękkim płótnie nie pękł pod naciskiem żelaznej koszulki, bo księżna Łokciowa przykazała mi strzedz pilnie tego krzyżyka, mówiąc, że jako osobliwy, może mi pomódz do znalezienia kiedyś mej rodziny.

— Co się też i stało. — rzekł rycerz, bacznie, z wyrazem pełnym uszanowania oglądając ów rąbka niewieściego kawałek: — Widzisz więc, że już i na tobie sprawdza się to, co pomiędzy rycerstwem o niewieściach słynie podarkach. Teraz tem lepiej rozumiem dla czego miecz mój był lekkim raz jeden, na jedną chwilę, w mych rękach: Bóg jest z nami, ponieważ jest z nami błogosławieństwo zacnych pań naszych.

Złożył rycerz starannie napowrót w kilkoro białe płótno i oddał je synowi, który również starannie umieścił je znów na dawnym miejscu, na piersi, pod żelazną siatkową koszulką.

— Cieszy mię to, bardzo mię cieszy — rzekł rycerz patrząc na to — Przekonywam się co raz bardziej, że masz prawdziwie rycerskiego ducha w piersi, kiedy sam z siebie, przez nikogo nie nuczany dotąd zwyczajów rycerskich, umiałeś przecież tak po rycersku prawdziwie poszanować ten strzępek, który jest w istocie talizmanem. Dotąd czulem tylko ojcowskie ku tobie miłowanie, ale teraz je rozumiem dopiero: ty jesteś prawdziwym synem moim po duchu, co daleko więcej znaczy niżeli zwykłe pospolite synowstwo. — W czasie tej rozmowy rumaki popasły się, spoczęły i rycerze wskoczywszy na nie, pośpieszyli w dalszą drogę. Nocą dojeżdżali do miasta, kierując się wedle ludzkich wskazówek i dopytując o stan rzeczy w Krakowie. Tak dowiedzieli się od jadącego prosto z tamtąd szlachcica, że Szlązacy istotnie miasto podejściem wzięli, pod niebytność księcia Łoktka Władysława, który był już teraz księciem krakowskim; ale zamek na Wawelu obleżony trzymał się przecież jeszcze, a nawet zdaje się jakoby gdzieś z kimś się porozumiewał, bo wywieszano tam z wieżycy to białe, to barwne jakieś płaty, dla rozmowy jakiejś przez te znaki widocznie, ale z kim? niewiadomo. A Szlązacy szukają tego kogoś na około Krakowa i wściekają się ze złości, że nikogo nie widać, a zamek się trzyma.

— Ale nie utrzyma on się długo wszelako, — dodał kiwając głową stary szlachcic — Bo to śla-

bizna jest i nie zaopatrzona; ledwo że zewnętrzne pierwsze wały a mury i fosy zdążył książę Łoktek jako tako po poprzednim zniszczeniu ponaprawiać.

Szlachcic pojechał w swoją stronę, a rycerze dążyli dalej ku stolicy; Hans odetchnął trochę, usłyszawszy, że zamek jeszcze się trzyma, ale śpieszono tem bardziej. Wyjeżdżając z lasu, tuż pod Krakowem, zjazd wedle otrzymanych objaśnień mieli już ujrzeć miasto, zpostrzeżono je wistocie, a po nad niem na szczycie góry, w której domyślno się Wawelu, z pomiędzy niepokąźnych wcale gruzów i złomów, wyglądających z poza świeżych wałów i murów, zpostrzeżono także, zatkniętą na żerdzi i poruszającą się na wietrze, dużą błękitną chorągiew, niby... Rycerz zdumiał się na ten widok:

— Cóż to jest? — rzekł — Czyżby ta barwa niewłaściwa o ile wiem księztwu temu, barwa ulubiona mej damy, po to powiewała z tej drewnianej wieżyczki, ażeby ducha we mnie podniecić? Tak mówiąc, wstrzymał rycerz konia na chwilę, dwaj jego towarzysze też samo uczynili, witając Kraków wejrzeniem, a w tejże chwili ciszy, gdy zcichł tentent ich koni, usłyszeli dość silny szczeł oręża w pobliżu i głos niewieści wołający pomocy. Na dźwięk tego głosu, głosu znaczącego bezbronność i słabość, rycerz jak szalony, a dwaj przyszedli rycerze tak, jakby już byli prawdziwymi rycerzami, rzucili się napowrót w stronę lasu, z której dochodziło wołanie. Bardzo prędko ujrzeni połamana kolosę z rwącemi się napróżno rumakami, w niej wspaniała niewiastę z chłopięciem małym na rękach wołającą pomocy, i kilku zbrojnych, broniących kolasy zjadle, ale już sił ostatkiem widocznie, bo krwią byli oblani wszyscy, a trzykroć liczniejsza napastujących gromada opanowała już konie kolasy. Jednocześnie prawie z ujrzeniem tego widoku, trzej rycerze byli już zdobytymi mieczami na karkach napastników. Rzeczywista dzielność rycerzy i gwałtowność ich niespodzianego natarcia, odniosły szybki skutek: w chwil parę, prócz zabitych i rannych, nie było ani jednego napastnika na placu boju. Wspaniała niewiasta stała wciąż w kolasie, trzymała chłopię na rękach i wzniosłszy oczy w niebo, dziękowała mu snadź cichą modlitwą; gdy spuściła oczy na ziemi, wtedy rycerz zsunął się z konia, sztywny, prosty, poważny, jakby na wskroś żelazny, przystąpił do kolasy i schylając nisko głowę, o dalsze rozkazy szlachetnej pani zapytał.

— Szlachetny rycerzu chrześcijański! — rzekła ona, poznając od razu z kim ma do czynienia i w niemieckim mówiąc języku, acz Polka wyraźnie — Przedewszystkiem dzięki ci! bo ocali-



leś jedyne go prawego polskiej korony dziedzica, Kazimierza, Władysławowego syna! — i mówiąc to, uniosła nieco w górę trzymane na rękach chłopię.

— O Boże! więc to istotnie pani moja, Łoktkowa żona i Łoktkowy syn! — krzyknął Hans padając na kolana, a trzeba wiedzieć, że on się od początku pilnie szlachetnej pani przyglądał. Na jego okrzyk, rycerz i pani badawczo nań spojrzeli, czem on zawstydzony, głęboko głowę skłonił, i na bok ustąpił, a pani mówiła dalej:

— Pragnieniem mojem obecnie i powinnością moją, i rozkazem jaki szlachetnemu rycerzowi dać pragnę, jest przeprowadzenie tego Kazimierza, krakowskiego księcia, do Krakowa i na dziedzictwo jego przodków, na zamek wawelski. Albowiem przed dwoma dniami wyjechałam ja z synem skrycie z tego zamku, zostawiwszy tam córkę moją, wyjechałam dla tego, aby niespodzianie ukazać księcia Kazimierza zbrojącym się pod Sandomierzem hufcom i tem przychylności ich dla dziecięcia obudzić, a wtém podeszli Szlązacy Kraków. Odtąd próbuję ja napróżno wszelkimi podejściami przedostać się napowrót na Wawel, gdzie pozostawiona od małżonka, murem do śmierci stać powinnam w obronie dzieci moich. Zacny dowódzca zamku trzyma się dotąd, w tajemnicy ściślej chowając moją nieobecność, a mnie dając o tem wiadomość za pomocą chust i płatów wywieszanych na zamku. Szlązacy, domyślając się w tém znaków porozumienia, szperają ciągle koło Krakowa, szukając z kimby porozumiewał się dowódzca i z ich to rąk przed chwilą wyrwałeś mię, szlachetny rycerzu!

— A więc do Krakowa! na Wawel! — zakomenderował rycerz, wyrozumiawszy położenie z węzłowato-dokładnego opowiadania damy. — Kolasa połamana: ale wszak rycerska żona i córka potrafi radzić sobie na rycerskim rumaku?

— Tak, jeżeli siodło odpowiednio urządzone będzie—odrzekła pani. Natychmiast rycerz, okiem doświadczonego znawcy przejrzawszy wszystkie obecne swoje i z orszaku księżnej rumaki, wybrał wierzchowca Hansa właśnie, dla jego łagodnych ruchów zapewne; uszczęśliwiony Hans, śledzący najmniejsze ruchy rycerza, podał konia natychmiast, rycerz go poklepał i szybko bo wprawnie jał urządzać popręgi, strzemiona i rzemienie męzkiego siodła, co wszystko gięło się jak nitki w żelaznych jego palcach: tu pociągnął, tam podłużył, przykrócił ówdzie, strzemiona na jeden bok przeczucił, konia poglaskał i przystąpiwszy wraz z nim do kolasy, wodze rzucił, które giermek i Hans aż we dwóch schwycili, a sam przykląkłszy na jedno

kolano prawą rękę podał pani, a lewą jak stopień lub strzemię między kolasa i rumakiem trzymał. Pani na chwilę posadziła chłopię w kolasie, stąpiła lekko nóżką na dłoń rycerza, ręką wsparła się na jego ręce i już siedziała na Hansowym rumaku, a rycerz chłopię jej podał. Całej tej rozmowie i robocie, pilnie i bacznie przysłuchiwali i przypatrywali się dwaj młodzi przyszli rycerze, ucząc się rycerskich obowiązków. Potem, na skinienie rycerza, zbrojni z orszaku księżny, odciawszy konie od kolasy, dosiedli najlepszych i pozostawiwszy kilku ranionych i kolasę strzaskaną, a otoczywszy księżnę, puszczone się w drogę pod dowództwem rycerza. W czasie przecież, gdy orszak się urządził, rycerz, już na koniu, krótką a żywą miał z księżną naradę, poczem ta pani wskazała mu jednego ze swych zbrojnych, jako przewodnika dobrze znającego miejscowość. Przewodnik odebrał rozkazy rycerza i poszedł naprzód.

— Czy tylko pewien jesteś że przy tamtej bramie trzyma Folster dowództwo nad strażą? — pytał go rycerz.

— Pewien jestem, panie rycerzu, — odpowiedział — bo to poufalec wójta krakowskiego, od dawna straż trzymający w wójtowej kamienicy, i kontentbym był gdybym miał tyle sztuk złota, ile z nim kufla piwa i szklanic miodu w ratuszowej piwnicy wypilem.

— To dobrze! prowadź zatem do gospody owiej! — rzekł rycerz. Jechano szparko już od pół godziny blisko, gdy nowy oddział Szlązaków gładzących koło Krakowa zastąpił drogę podróżnym.

— Jestem Konrad von Richartsdorff, idę do Floryańskiej bramy, do pana Folstera, dowódcy straży! — krzyczał rycerz po niemiecku z całego potężnego gardła, kazawszy wprzód swoim ludziom tak się ustawić, aby niewiasty na koniu wcale z pomiędzy nich widać nie było; więc przepuścili Szlązacy podróżnych spokojnie, może wiedząc dobrze, że tuż jedzie drugi szlązki oddział, który podróżnym nie daruje. I tak się stało; niemieccy panowie pod owe czasy rozbijali gęsto własnych współpracu po wielkich drogach i sami bili się i rabowali pomiędzy sobą; rycerzy prawych takich, jak Konrad von Richartsdorff, niewiele było na świecie, i dla tego też właśnie, dla słusznego wynagrodzenia ich czcią i poszanowaniem ogólnem, wymyślili krzyżacy swój rycerski *Stół honorowy*. Ale pospolite żołnierstwo, złożone po większej części z bitnych rabusiów, mało mogło wiedzieć o prawdziwym rycerstwie i mając za cel rabunek i zdobycz, a za pozór rozkazy swych dowódców, rzuciło się tłumnie na mały poczet Richartsdorffa. Ale Richartsdorff doskonałe to wszystko wiedział i ro-



zumiał i nie wiele liczył na swe nazwisko i narodowość, a daleko więcej na miecz doświadczony. Jakoż, pomimo i tu przeważającej znacznie napastników liczby, zwycięstwo księżny Łoktkowej obrońców nie długo było wątpliwem; rycerz, ogromnym mieczem płał napastników na wszystkie strony:

— Niemiec jesteś i ja Niemiec, choć między Szlązakami, czego mię płatasz! — wrzasnął jakiś Niemiec, wistocie wśród słowiańskich Szlązaków walczący. A na to, uderzając go mieczem, odrzekł rycerz poważnie:

— Ojczyzna chrześcijanina jest w niebie! bronię sprawiedliwości i słabości: jam rycerz! — I walczył dalej; aż zmógłszy przeciwników, mały poczet ustawił się na nowo, ściśle otaczając księżnę i jechano znów dalej.

(D. c. n.).

## PAMIĘTNE CHWILE.

*Dnia 30 Sierpnia 1672 roku.* Co znaczy ten zgiełk na ulicach miasta Kamieńca, ten lament, te łkania, te jęki, co wśród jego ulic się rozlegają? Ludzie cisną się, tłoczą, uciekają do domów, zamykają za sobą drzwi szczelnie, a tam z oddali od bramy twierdzy leci jakiś tentent... To ziemia skarży się pod kopytami końskimi, chwila jeszcze, a wśród opustoszałych już ulic ukażą się zastępy zbrojne i ukazały się w istocie liczne, groźne, straszne. Na niskich konikach widać rycerzy w strojach muzułmańskich, zawoje na głowach, kaptury szerokie, krzywe szable, to strój wyznawców Mahometa. Jadą zwolna, dumnym okiem rozglądają się w około i pobrzękują szablami, jakby mówić chcieli: „My tu panami”. Za nimi cisną się Tatarzy. Twarze ich płaskie, oczki maleńkie śmieją się dziko, szatańsko, ilekroć jęk z poza ścian domów ich doleci... Śmieją się, bo oni tu zwycięzcami, bo Kamieniec do nich od dziś należy; jęczą mieszkańcy Kamieńca, bo własny król ich zaprzedał w niewolę, własny król wydał ich w ręce Turka. Posłuchajcie historii nieszczęsnego miasta. Nad rzeką Smotryczem na ziemi podolskiej, na stromiej skale leżało miasto Kamieniec, obronna twierdza; stanowiło ono ważny punkt strategiczny, broniło granic Rzeczypospolitej od najazdu Turków, broniło zawsze wiernie i stale Rzeczypospolitej; o jego granitowe piersi rozbijały się pociski wrogów, w jego kamiennym pancerzu utykały ich strzały i dalej śmierci nie rozszerzały, Turek nie śmiał przekroczyć Kamieńca, poza nim mordów i pozo-

gi rozszerzać. Lecz za poświęcenie tyle, jakże król Michał odplacił bohaterskiemu miastu? oto roku 1672 traktatem buczackim oddał je Turkom. Dnia 30 Sierpnia wezyr Kuproli wprowadził do miasta swe wojska i jak niegdyś Mahomet II-gi, gdy zdobył Konstantynopol, tak on teraz wjechał do katedry na koniu. Jeszcze tegoż samego dnia pozniakały z wież kościołów kamienieckich krzyże, a miejsce ich półksiężycy zajęły. Głucha, ponura cisza zaległa odtąd miasto, ustały wesołe zjazdy szlachty, każdy zamknął się w mieszkaniu, kryjąc przed wrogiem łzy i rozpacz. Po ulicach snuli się tylko Turcy i Tatarzy, a gdy przypadkiem spotkali chrześcijanina, bili go i obelgami obrzucali. Ciężkie było położenie miasta, kto mógł tajemnie uchodził, inni jęczeli, znosili ucisk i prześladowanie. Naród polski kilkakrotnie próbował odzyskać twierdzę, lecz wszelkie usiłowania rozbijały się o naturalną obronność twierdzy, która wznosiła się na stromiej skale. Próżno dzielny hetman Sobieski, a po śmierci Michała król polski, kilkakrotnie wyruszał przeciw Turkom, próżno odniósł kilka zwycięstw nad nimi, twierdzy nie odzyskał.

Uciskani przez Turków, napadani, rabowani przez Tatarów, mieszkańcy Kamieńca w ciężkiej żyli niedoli, a nie było nadziei wyjścia z niej, mijały lata za latami, a w ich położeniu nic się nie zmieniło.

Roku 1697 na tron polski wstąpił August II elektor saski, ten obejmując tron, przyrzekł, że Kamieniec odzyska własnym kosztem, jakoż dotrzymując słowa, zaraz następnego roku po koronacji, zebrawszy zbrojne szyki, ruszył na Podole. Roku 1698 dnia 16 Sierpnia przysły hufce polskie i saskie do Lwowa, a Szczęsny Potocki, hetman polny, odpocząwszy nieco w parę dni potem ze swoim hufcem ruszył pod Podhajce, gdzie spotkał się z wrogiem i potyczkę pomyślną z nim stoczył, lecz August podrażniony, że zwycięstwo nie było dziełem Sasów, zabronił Polakom potykać się więcej i Sasom kazał oblegać Kamieniec. Oburzeni Polacy grozić počęli buntem, wtedy August rozpuścił wojska na zimowe leże i znowu nadzieja zgasła, znowu twierdza w rękach Turków została. O! była to ciężka godzina dla mieszkańców Kamieńca, gdy ujrzeli oddalające się hufce polskie, gdy umilkły odgłosy bojowe i głucha cisza zaległa dokoła... Ale Bóg zmiłował się nad nieszczęśliwymi, w kilka miesięcy potem mocarstwa europejskie weszły w układy z Turcyą i mocą pokoju karłowickiego, zawartego z nią dnia 18 Grudnia. Porta zgodziła się oddać Polsce Kamieniec w terminie do 15 Maja 1699 roku.

*Teresa Jadwiga.*



## O WŁASNÉJ SILE.

Powieść

przez M. Kr.

(Dalszy ciąg).

Na tój saméj nieszczęsnej stacyi, na której Władys zginął przed półtora rokiem przeszło, wsiedli do wagonu i stanęli nad wieczorem w Warszawie. Władys drżał. Rozglądał się, śledząc przechodniów oczyma, bo mu się koniecznie zdawało, że ojca albo matkę zobaczy. Nie zobaczył jednak ani ich, ani żadnej twarzy znajomój. Władek chciałby był prosto z kolei biedz do dawnego mieszkania rodziców, aby się tam dowiedzieć, gdzie się wyprawdzili. Ale zrozumiał, że kiedy jest pod opieką, to nie może samowolnie się rządzić. Rozumiał także i to, że panu Makaremu nie jest wcale równie jak jemu pilno, nie można mu się więc dziwić, że się chce najprzód wygodnie w hotelu ulokować, a może i zjeść co, a dopiero poszukiwania i własne sprawy, dla których przybył, rozpocząć. Rzeczywiście pan Makary myślał o swoich interesach a nie o poszukiwaniach i Władys zrozumiał, że sam się niemi zająć musi. Dzień miał się ku schyłkowi, siadł więc w oknie i bacznie przypatrywał się przechodniom, bo nie wiedział jeszcze co miał robić.

Nazajutrz z rana, gdy pan Makary za swojemi interesami poszedł, Władys wziął kapelusz i wyszedł na ulicę. Tu wyjął z kieszeni ołówki i papier i zapisał sobie nazwę i numer hotelu, w którym stał; potem szedł prosto ulicą, rozglądając się bacznie, aż doszedł do pierwszego ulicznego rogu, gdzie na murze napisano nazwę ulicy; zapisał sobie i tę nazwę. Teraz był już pewny, że czyby sam wracając pytał się ludzi, czyby dożkarczowi zawieść się kazał, zawsze do hotelu, do pana Makarego trafi.

Potém stojąc na tym rogu ulicy, rozejrzał się w około, bo plac przed nim będący obcym mu się nie zdawał, to też przeczytawszy napis na drugim rogu dowiedział się, że to był plac Krasińskich, przez który nieraz z matką do ogrodu Krasińskich chodził. Ta wiadomość troszeczkę go na drogę naprowadziła, ale tylko troszeczkę, bo na drogę miasta znał mało. Szedł więc od Krasińskich placu, trochę pytając się ludzi, a trochę przypominając sobie, jak wygląda Warszawa, która szczęściem w tém miejscu nic się nie zmieniła, ponieważ zabudowaną była oddawna. Pytając się zaś ludzi, uważał, czy wszyscy jednakowo mu odpowiadają, bo przecież i ludzie także mylić się

mogą i jego w błąd wprowadzić. Tak przeszedł jedną ulicę i drugą, a w końcu tój drugiej ulicy zobaczył przecież teatr, który znał; więc już trochę pewniejszy siebie zaszedł powoli w bok teatru i zobaczył drzewa Saskiego ogrodu; szybko pobiegł ku nim, wpadł do ogrodu, siadł na ławce przy wodotrysku i odetchnął. Teraz był tak, jak w domu. Saskiego to ogrodu on szukał; bo z Saskiego ogrodu mógł trafić wszędzie, gdzie mu było potrzeba.

Odpocząwszy chwilę, wstał i poszedł prosto do domu. Po drodze przez ogród zaczepiali go jacyś chłopcy, zapraszając do zabawy, a on uśmiechnął się do tych dzieci, które jeszcze o niczem prócz zabawy nie myślały, tak jak i onby nie myślał na ich miejscu, bo byli w jego wieku; uśmiechnął się i przeprosił, że do zabawy czasu niema, a westchnawszy szedł dalej.

Zaszedłszy do domu, w którym z powierzchowności nic się nie zmieniło, poszedł prosto do karty w sieni, na której lokatorzy spisani bywają i przeczytał ją. Pod numerem mieszkania zajmowanego przez jego rodziców mieszkał ktoś obcy. Mimo to, Władys poszedł na piętro pod same drzwi, przez które tyle razy z matką i ojcem wchodził i wychodził. Stał tam, stał, niewiedząc czego, patrząc na ten próg, stał, aż prędko ukląkł, próg ten pocałował i uciekł na dół, jakby go kto gonił. Gdyby go spytano, dla czego to zrobił, byłby pewno nie wiedział, czuł tylko, że mu było w duszy gorzko i ciężko tak, że nawet płakać nie mógł. Nie wiedzieć czemu, im bliżej był celu Władys, tracił teraz coraz bardziej nadzieję odnalezienia rodziców, z którą przybył.

Zszedłszy do sieni, poszedł prosto do izby stróża. Ale starego znajomego stróża Jana już nie było; a ten, który był, ani słyszał o Falskich. Poszedł tedy Władys do mieszkania właściciela domu. Tam, chociaż widywano go przed dwoma laty, przecież nie poznano wcale; jednakże opowiedziano, że pp. Falscy z powodu jakiejś choroby i jakichś zmian majątkowych wyprowadzili się dwa lata temu; a nawet poszukawszy w książce, dano Władziowi numer domu, do którego ich wymeldowano. Władys numer wziął, podziękował i poszedł prosto do owego domu, którego mu dano adres.

Idąc zawsze powoli, zawsze ostrożnie i zawsze zważając w której stronie jest ogród Saski, Władys zaszedł na dosyć odległą ulicę, na której znalazł numer szukany. Ale dom pod tym numerem był taką nędzną kletką w podwórzu, z parkanem za front, że Władysowi serce się ścisnęło na myśl, jaka ostateczność mogła zmusić ojca do zamieszkania w takiej ruderze. Drząc przeszedł niebru-



kowe podwórko, o karcie z nazwiskami lokatorów nikt tam nie słyszał, stróża nie było ani śladu, więc otwierając pierwsze drzwi z brzegu do mieszkań, Władysław aż się o ścianę oprzeć musiał ze wzruszenia, bo któż mógł zaręczyć, czy matka chora i nędzna za chwilę przed nim nie stanie... Ale nie; jakaś brudna kobieta odesłała go po wiadomości do gospodyni domu, Falscy nie mieszkali tam.

U gospodyni pokazało się z książek, że mieszkali przez całe pół roku; poczem wyprowadzili się, ponieważ nie byli w stanie trzymać dłużej takiego kosztownego lokalu. Tak wytłómaczywszy rzecz tę coraz bardziej blednącemu Władkowi, gospodyni chciała na prośbę jego dać mu znów adres, pod który wyprowadzili się Falscy, ale znaleźć go w książce nie mogła. Dopiero Władek zwrócił jej uwagę, że owa książka była tegoroczna, a wtedy pokazało się, że przeszłoroczna książka, ta właśnie, której było potrzeba, czy zginęła, czy się zapodziała, dość że jej nie było, co tak rozgniewało gospodynię, że się rozirytowała na Władka, jakby on temu był winien. Uciekł tedy Władysław z tego domu, straciwszy ślad biednych rodziców swoich.

Zdyszany, znękany, skierował się teraz ku Saskiemu ogrodowi, a stamtąd do hotelu, pośpieszając ile mógł, bo pomyślał, że może pan Makary skończywszy swoje interesy, do prawnika jechać zechce. I rzeczywiście pan Makary kazał dać obiad, a potem wziął Władka do dorożki i pojechali.

W kwadrans byli już u owego prawnika, do którego proboszcz pisywał. Wysłuchawszy interesu, prawnik zbliżył się do jednej z wielkich szaf z papierami, które z trzech stron stały przy ścianach kancelaryi, wyjął z szafy zwój papierów, wrócił z nim do biurka, usiadł przed niemi, i skinieniem zaprosiwszy siedzieć pana Makarego, rozłożył papiery, i czytał w nich głośno, spoglądając na stojącego przed nim Władka i zadając mu przytęm pytania wedle potrzeby:

— Władysław Falski, lat dziesięć — popatrzał na Władka i spytał:

— Jak dawno zbłąkałeś się, goniąc za wagonami?

— Dwa lata minęło — odpowiedział Władek.

— A więc wiele lat masz teraz?

— Dwanaście skończonych, — na tę odpowiedź Władka, prawnik obrócił się do pana Makarego:

— Ten chłopiec ma lat czternaście przeszło. — rzekł.

Pan Makary wzruszył ramionami jakby mówił: „mnie co do tego”...

— Chorowałem na febrę i w tym czasie tak wyrosłem; jeżdżę konno, pływam, więc zmężnia-

łem — rzekł Władysław przytomnie, chociaż mocno zdziwiony takim sprawą obrotom. Prawnik spojrział bystro na niego z pod okularów:

— Roztropnie mówisz — rzekł po chwili i popatrzawszy jeszcze na niego czytał znowu z papierów, półgłosem coś mrużąc i spoglądając na Władka; nagle spytał:

— Garnitur z niewarowego płótna wyszywany tasiemką białą, buciki z wysokimi cholewami na obcasach podkutych, paltocik syberyjowy granatowego koloru, bielizna cienka biała z kołnierzykiem wykładanym i mankietami, kapelusik ryżowy. — Gdzie jest ubranie, które miałeś na sobie, gdyś się zbłąkał? pokaż je!

— Nie mam go; wszystko zabrał mi dziad z plastrem na oku; a mnie w płachtę swoją okrecił — odpowiedział Władysław. — Pan Makary poruszył się na krześle; prawnik spojrział na niego kręcąc głową.

— Bardzo mi przykro, że nie mogę nic w tej sprawie zrobić; ale wszakże pan sam uważać musi, że najwłaściwiej będzie odwieźć tego chłopca tam, z kąd go pan dobrodziej przywiózł — rzekł grzecznie, wstając.

— Nie mam nic przeciw temu — powiedział na to pan Makary, wstając także — nie rozumiem tylko kto, i w jakim celu, miałby w tej sprawie jednego chłopca za drugiego podstawiać. Wszak podobno niema żadnych skarbów do odziedziczenia.

— Nie tylko skarbów niema — rzekł prawnik — ale nawet ludzie owi zubożeli tak bardzo i w takiej dziś są nędzy...

— Więc żyją rodzice moi!... — krzyknął Władek ręce składając — prawnik spojrział na niego zacinając usta, pokręcił głową znowu i zwracając się do pana Makarego, mówił dalej spokojnie:

— W takiej są nędzy, że sumienia musiałbym nie mieć, gdybym miał dręczyć ich jeszcze wznowianiem sprawy zaginionego dziecka, mając najzupełniejsze moralne przekonanie, a po części i prawne nawet, że dziecko znalazło śmierć przez utopienie. Co zaś do celu, jakiby ktoś mógł mieć w podstawieniu tego tu obecnego chłopca, o tém trudno mi sądzić, a przy pewności jaką mam, co do śmierci rzeczywistego Falskiego, reszta nie obchodzi mię nawet. Jednakże, jeżeli to pana dobrodzieja obchodzi, to pomyśl pan sam, czy w otoczeniu tego chłopca niema kogoś, ktoby miał ochotę choćby... choćby wyludzić tylko trochę pieniędzy od zrozpaczonej matki...

— Cóż u Pana Boga, przecież ani moja siostra, ani proboszcz, ani jego stara siostra! — zawołał żywiej pan Makary.

— Ci, których pan wymienia, mogą być tak



samo wplątani w tę sprawę, jak pan i ja; — rzecze na to prawnik — zanim chłopiec dostał się do proboszcza, mógł kto przeczytać gazetę, w której była obiecana nagroda i chcę ją wyzyskać.

Być może, iż pan Makary poszedł za zdaniem prawnika, bo wstał, uściśnął rękę prawnika i wyszedł.

— Pani! czy nie mógłbym otrzymać od pana adresu państwa Falskich?... — spytał Władysław prawnika, drżąc cały, jakby znów febrę dostawał.

A prawnik odrzekł, patrząc mu w oczy:

— Nie, kochanku, nie możesz, choć hardzo być może, że ty sam jesteś tutaj oszukany i że wmówiono w ciebie rolę, jaką odgrywasz. Ja mam przekonanie, że mały Falski się utopił, nie będę nieszczęśliwych ludzi kłopotał próżno tą bolesną sprawą.

Władysław wpół nieprzytomny wybiegł za panem Makarym. Znalazł go dopiero w hotelu, wybierającego się w drogę.

— Pani! czy i pan naprawdę wierzysz, że ja nie jestem Falskim — spytał go, stając przed nim.

— A Bóg was tam wie — odpowiedział pan Makary, którego ta sprawa mało obchodziła. Władysław przeszedł kilka razy tam i napowrót po pokoju, bo ustać w miejscu nie mógł, tak różne uczucia nim miotaly.

— Proszę pana, ja z panem teraz nie pojedę — rzekł nakoniec stając.

— Jakto?

— Zostanę w Warszawie i będę szukał rodziców moich; przecież tu nie las, a i w lesie ludzie się odnajdują.

— Hm, hm — namyślał się pan Makary — hm może ty i dobrze zrobisz... ale, gdzie ty będziesz spał, nim ich znajdziesz? wszak to już się zmierzcha, ja wyjeżdżam?...

— Gdziekolwiek na ulicy — powiedział Władysław wzruszony.

— Ba, to cię policja przyaresztuje jak włóczęgę... — mówił pan Makary w kłopotcie.

— Tém lepiej; może policja potrafi odprowadzić mię do moich rodziców, bo nie będzie się lękała, żebym od nich chciał jałmużnę wyłudzić — odpowiedział Władysław. — Pan Makary namyślał się chwilę.

— Czekaj! — zawołał — ja zapłacę za ciebie jeszcze za tę noc tu w hotelu, a jutro, to już ty sobie rodziców wynajdziesz po dniu, — i zrobiwszy jak zapowiedział, siadł pan Makary do dorożki i odjechał.

(D. c. n.).

### Łamigłówka w kwadraciku (S. B.)

2 A—1 C—1 G—2 K—2 L—4 O—1 P—2 S—1 W — umieścić w 16 podziałkach, aby utworzyć w obu kierunkach: 1) Wyrób owadów. 2) Drogi kamień. 3) Rodzaj kaszy. 4) Przedmiot z drzewa.

### Zagadka przeciwieństwa (M. P.).

Znaleźć 18 wyrazów, których znaczenie stanowi przeciwieństwo z następującymi: 1) młody 2) lato 3) frak 4) przyłodek 5) fundament 6) zakrystyan 7) buty 8) przebaczenie 9) botanik 10) kolibr 11) roztrzepany 12) drog 13) mała rzeka 14) komedia 15) dziura 16) Lucyper 17) mokry 18) zimna woda. Pierwsze litery tych wyrazów powinny utworzyć znane przysłowie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 34-go.

#### Zadania konikowego:

Witaj domku mój drewniany,  
Pełen wspomnień i pamiątek;  
Witaj dworku ukochany,  
Skarbie drogi świętych szczytów.

\* \* \*

Pod tēm drzewem rozłożyستم  
Ptasząt śpiewu ja słuchałem;  
Dziecko jeszcze sercem czystém.  
Z każdym kwiatkiem rozmawiałem.

### Krzyża z podstawą:

	N					
	A					
G	O	P	Ł	O		
	O					
	L					
	L	E	N			
	A	D	O	L	F	
I	W	O	N	I	C	Z

### Odpowiedzi od Redakcyi.

Maryi Kocze... w Borszuckach. Żądany numer wysłany został, chętnie dajemy go bezpłatnie

Józiovi Now... w Warszawie. Trzynastoletni podróżnik nie mógłby dziś tak spokojnie wędrować po świecie jak w 1725 roku, bo zwróconoby na niego prędzej uwagę, to jest zażądano by pasportów, świadectw itp. a w braku takowych odesłano by go pod eskortą na miejsce zkąd wyszedł.



# PRZY KOŁYSCE.

Śpiew ofiarowany malutkiej Ninie Moszkinównie.

Moderato.

1. Śpij mo-je dzie-ko śpij mo-ja ma-ła, Ju-żes dziś dłu-go bar-dzo bie-ga-ła;

Zmę-czo-ne nóż-ki niech się od-świe-żą, Niech te-raz ci-cho, spo-koj-nie le-żą...

Przy dziec-ku ma-ma po-sie-dzi tro-che, Bo grze-czne dzie-ci Ma-te-zcka ko-cha.

ritardando.

2.

Kapryśów żadnych nie można tworzyć,  
Trzeba się grzecznie do snu ułożyć,  
Oczęta zamknąć i myśleć sobie...  
Co dziś robiłam? Co jutro zrobię?  
Śpij mój aniołku, śpij moja mała,  
A wstawszy będziesz piosnki śpiewała.

3.

Jutro ty będziesz cały dzień grzeczna,  
Ciągłe wesola, w niczem niesprzeczna,  
Nie skłamiesz mamie, nie zakaprysisz  
Wszak prawdę mówię? i ty ją słyszysz?  
O! słuchaj dziecko — rażno śpij sobie,  
A ja tu powiem więcej coś tobie.

4.

Powiem, że zawsze Aniołek Boży,  
Kiedy się dziecko do snu ułoży,  
Przychodzi pytać: „A jak dziś było,  
Czy moje dziecko dobrze tu żyło?”

I pokolysze dziecinę miłą  
I ją obdarzy zdrowiem i siłą.

5.

Z Aniołkiem zleci na cię Duch Boży,  
Mama ci rączki do modłów złoży,  
Ojczulko weźmie cię na kolana...  
Zmówisz z nim pacierz, córus kochana  
Śpij mój ptaszeczku — moja dziecino,  
Zanim ci szczęścia godziny spłyną.

6.

A kiedy, czasem, dziecko nie słuca  
W tenczas obraża Świętego Ducha,  
Ten smutny leci w górę do nieba,  
I mówi: „Takich kochać nie trzeba,  
Aż się poprawią ze swojej wady  
I w dobrych dziełek zaczną iść ślady.

7.

A więc pamiętaj, dziecinko miła  
Abyś posłuszną i dobrą była,

Bo tylko dobrym Bóg błogosławi,  
Wszyscy kochają, wszyscy łaskawi.  
O! rzuć kaprysy — rzuć je dziecinko  
Stań się naprawdę dobrą dziewczynką.

8.

Śpij mój gołąbku, śnij moja mała:  
O tych coś przedtem w niebie widziała,  
Zasił duszyczkę na długie lata,  
Zanim się życie tobie zaswata,  
Śpij słodko, cicho — spokojnie, długo,  
Śpij moja miła, śpij moja droga.

9.

Życie od ciebie zażąda wiele.  
W duszy niepokój, choroba w ciele,  
Mogą cię kiedyś trapić nie mało...  
Więc patrz, by dzisiaj dobrze się spało,  
Ach, śpij kwiateczku, śpij moje złoto  
Uciecho duszy — serca pieśczoło.